



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: TANIEC I NOSTALGIA

Kręcąc film „Ginger i Fred”, tę nostalgiczną a zarazem, jakże pełną goryczy opowieść o ostatnim wielkim występie pary postarzałych tancerzy, którzy przed kilkudziesięciu laty zbierali brawa na scenach drugorzędnych musicalowych włoskich teatrzyków, Fellini pewnie się nie domyślał, że tworzy oto zarazem dzieło składające hołd pamięci wielkiego Freda Astaire'a. Film wszedł na ekrany w 1986 r.; w czerwcu następnego roku - niezapomniany gwiazdor kina musicalowego, tancerz, któremu partnerowały Ginger Rogers, Rita Hayworth, Cyd Charisse, Eleanor Powell, Audrey Hepburn i Leslie Caron, odszedł na zawsze... Liczył wtedy osiemdziesiąt osiem lat. I chociaż dwadzieścia lat wcześniej rozstał się zdecydowanie ze sceną i z planem filmowym, dla milionów ludzi był nigdy niestarzejącym się symbolem ich młodości.

Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych, kiedy przez światowa ekrany przewinęła się pierwsza fala „tanecznych” filmów Freda Astorie'a i jego najznakomitszej partnerki, złotowłosej, „płomiennej” - jak o niej pisano - Ginger Rogers, para ta zyskała nie tylko zawrotną sławę, ale także... licznych naśladowców. Tancerzy, którzy naśladowali nie tylko samą sztukę, lecz również urodę i sposób ubierania się Ginger i Freda. Publiczność przyjmowała tych naśladowców niemal z takim samym aplauzem, jakby to byli autentyczni bohaterowie „Cylindra” czy „Amandy”, którzy zeszli do niej, na chwilę, z ekranu. Ginger i Fred to była wówczas młodość, radość życia, nowy styl tańca, nowy sposób bycia, nowy wspaniały świat. Nowy Jork. Broadway, drapacze chmur, w ogóle – Ameryka! Kraj, który tak bardzo imponował ówczesnej Europie. Sam Federico Fellini liczył szesnaście lat, gdy Fred Astaire nakręcił swój pierwszy film z Ginger Rogers, i o tym także trzeba pamiętać, oglądając dziś na ekranie „Ginger i Freda”.

Jest film Felliniego opowieścią nostalgiczną, bo odwołującą się do epoki, która już odeszła na zawsze, wyidealizowana, czysta i piękna we wspomnieniach; nostalgiczną - bo uderzającą w struny młodości, która już nie wróci. Jest „Ginger i Fred” filmem pełnym goryczy i gniewu pod adresem dzisiejszego świata, jego mass mediów, przeżywających z nieustającą, zachłanną obojętnością wszystko to, co dobre i złe, wielkie i mierne, mądre i

głupie, rzucając następnie przed oczy widzów bezwartościowy produkt, owinięty w efektownie lśniący celofan.

Oto filmowi - „Ginger” oraz jej dawny partner a zarazem kochanek, „Fred”, spotykają się po latach w hotelu na peryferiach wielkiego miasta, odnalezieni w różnych, odległych od siebie miejscowościach Italii przez organizatorów. Wielkiego telewizyjnego show, który ma przedstawić niezwykle osobistości. Zarówno te – legendarne, jak i te – współczesne. A może bardziej tu nawet chodzi nie o osobistości, co o „fenomeny”. Tak, o fenomeny. Bo w tej imprezie sam człowiek liczy się najmniej. Czasem liczy się na równi ze zwierzęciem, jako istotą żyjącą. Dla telewizyjnego prezentera równie atrakcyjny jest stary, bohaterski admirał(cóż z tego, że zdziecinniały i zramolały), jak... krowa o nieprawdopodobnych wymionach. „Bohaterów” występu przepędza się niczym stado owiec - poprzez byle jak zorganizowane próby, przez garderoby i pomieszczenia charakteryzatorskie. Popychani i poszturchiwani przez nijakich „asystentów” reżysera, niegdysiejsi wielcy i niezwykli bohaterowie i idole oczekują karnie, pokornie, za kulisami na swoje kilkuminutowe, ostatnie „entrée” przed telewizyjnymi kamerami, za którymi czai się ciemność i pustka...

Dlaczego godzą się na to upokorzenie, na takie... upodlenie? Z ambicji? Z próżności? Dla pieniędzy, których większości z nich brakuje? Nic podobnego. Oni chcą zawrócić na chwilę czas. Przeżyć raz jeszcze, za każdą cenę, miłość. Poczuć raz jeszcze smak tego, co się dawno skończyło.

„Ginger”, porzucona niegdyś przez „Freda”, jest dziś kobietą zamożną, właścicielką dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, ma dzieci i wnuki oraz tak zwaną pozycję społeczną. Od lat już nie ma nie wspólnego ani z tańcem, ani ze sceną. „Fred” - pozostał na scenie. Ale to już tylko cień dawnego, oklaskiwanego tancerza, strzęp niegdysiejszego idola; z trudem wiążący koniec z końcem, postarzały przedwcześnie estradowy aktorzyzna.

I... cóż z tego, skoro wystarczy jedna chwila wspomnień, kilka pas tanecznych wykonanych wspólnie, spojrzenie na wyjętą z walizki starą, od lat nieużywaną białą suknię naśladującą strój Ginger Rogers, na przykurzony frak i podniszczony cylinder, aby tych dwoje, zupełnie już obcych sobie ludzi, poczuło się przez chwilę... wolnymi i szczęśliwymi?!

Co jest właściwie ważniejsze w życiu? - wydaje się pytać, postarzały jak jego bohaterowie, znakomity reżyser filmowy Federico Fellini. Ulotny miraż czy konkretna realność? Życie czy wyobrażenie o życiu? Teraźniejszość czy wspomnienie? Gdzie przebiega granica między ludzką małością i śmiesznością a wzniosłością?

Sam wielki Fred Astaire wydawał się stronić od podobnego rodzaju pytań i nie mieć podobnych, jak bohaterowie Felliniego dyletantów. W pewnym momencie postanowił świadomie zatrzymać swoją karierę w miejscu i nigdy już więcej nie konfrontować dawnych

dokonań i umiejętności ze swymi aktualnymi możliwościami. A także - nie przeciwstawiać czasów młodości obecnemu wiekowi.

Kiedy ukończył sześćdziesiąt dziewięć lat, to znaczy w 1968 r., nakręcił ostatni film, „Tęcza Finiana”, w którym partnerowała mu Petula Clark i który reżyserował Francis Ford Coppola. I powiedział: „dość”. Twierdził, że nie chce się czuć jak mit siebie samego. Być żywym mitem.

Ale dla innych był mitem, który pomagał im żyć codziennością. Był nim dla „Ginger” i dla „Freda”, dla kinowych widzów, dla Felliniego. I także - dla pary doskonałych odtwórców bohaterów filmu - Giulietty Masiny i Marcello Mastroianniego.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 26, s. 12.